

Thomas Urban

Temat sporny - wypędzenia.

Przeciwstawne dyskursy historyczne, nieporozumienia i brakujące informacje

Ponad dwie trzecie Niemców (68 %) nie słyszało o pomysle budowy Centrum Dokumentacji Wypędzeń w Europie XX wieku. Tylko 12% ma dokładniejsze rozeznanie na temat tego projektu. Liczby te ukazała zakrojona na szeroką skalę ankieta Instytutu Spraw Publicznych w Warszawie na temat obrazu Polski wśród Niemców, przeprowadzona w latach 2000-2006.¹ W Polsce debata na temat wypędzeń Niemców po II wojnie światowej osiągnęła szeroki oddźwięk, a tym samym wpłynęła na polityczny klimat. Warszawscy politolodzy są zdania, że spór o projekt Centrum zmobilizował obóz narodowo-patriotyczny. Protesty przeciwko rzekomej rewizji historycznej ze strony Niemiec poskutkowały w związku z tym w wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2005 roku decydującymi punktami dla kandydatów, którzy podkreślali swój dystans, a nawet sceptyczne podejście do niemieckich sąsiadów². Premier Jarosław Kaczyński wyjaśnił, że w Niemczech ma miejsce "niesłuchanie silna rewizja historii"

w znaczeniu "nowego rodzaju narodowej ideologii".³

Pisanie na nowo historii przez Niemców na niekorzyść Polski jest od wielu lat stałym tematem prasy prawicowej, na pierwszym miejscu wpływowego dziennika "Rzeczpospolita". Komentatorzy tej gazety rzucili hasło prowadzenia z Niemcami "bitwy o pamięć"⁴ lub nawet zwycięskiej "wojny o pamięć".⁵

Od 2005 "Rzeczpospolita" wraz z tygodnikiem "Wprost" prowadzi akcję, do której przyłączyło się także Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Warszawie.⁶

W ramach tej akcji wszyscy Polacy przebywający za granicą proszeni są o informowanie redakcji w Warszawie, jeśli w zagranicznej prasie znajdą sformułowanie "polskie obozy". Gazety, używające tego pojęcia zamiast pożądanego "obozy założone przez niemieckich nazistów w okupowanej Polsce", otrzymują od mieszczącej się w danym kraju polskiej ambasady list protestacyjny. "Wprost" i "Rzeczpospolita" piętnuje takie kraje w redakcyjnych dodatkach jako "fałszerzy historii". Rzekome zafałszowania obciążające Polskę opublikowane zostały do tej pory w licznych wydaniach zagranicznych, m.in. w tak opiniotwórczych jak np. New York Times, Washington Post, Wallstreet Journal, Economist, El Pais, Haaretz, Süddeutsche Zeitung, Der Spiegel.⁷

Z przeglądu krytykowanych publikacji wynika jednak, że w absolutnie żadnym wypadku nie uważa się, że to Polacy a nie Niemcy stworzyli obozy koncentracyjne. Wręcz przeciwnie, w każdej publikacji, której poczyniono zarzuty, jest jednoznacznie napisane, że to Niemcy byli oprawcami, a Żydzi i przede wszystkim ludzie narodowości wschodnioeuropejskiej ofiarami. Redakcje, do których się zwrócono przyznają, że sformułowanie "polskie obozy", wyrwane z kontekstu, może zostać źle zrozumiane i powinno być zostać pominięte. Jednak w tych konkretnych przypadkach było jasno rozpoznawane jako wyłącznie pojęcie geograficzne. Nagłówek i treść nie dopuszczały żadnej błędnej interpretacji. Ale polskie gazety twierdziły, powołując się na to sformułowanie, że ma tu miejsce rewizja historyczna zakrojona na światową skalę. Przez nią to Polakom mogłaby zostać przypisana niemiecka wina.

Zwrot ku własnym ofiarom

W Niemczech tego rodzaju publikacje spotykają się z niezrozumieniem. Tutaj dostrzega się raczej nadejście "końca epoki powojennej".⁸ Głównym powodem przedstawiania II wojny światowej w niemieckiej publicystyce w sposób naukowo-historyczny jest bez wątpienia wymiana pokoleniowa. Wnuki generacji wojennej zwracają się również ku ofiarom

po stronie niemieckiej, po tym jak generacja dzieci pytała o winę swoich ojców podczas wojny. W Polsce przygląda się temu z wielkim niedowierzaniem. Polscy publicyści reprezentują pogląd, według którego w Niemczech generalnie próbuje się pomniejszyć winę lub nawet całkowicie ją wymazać z pamięci zbiorowej. Z tej perspektywy ocenia się na przykład książki na temat bombardowania niemieckich miast,⁹ masowe gwałty żołnierzy Armii Czerwonej na niemieckich kobietach¹⁰ oraz dokumentację o ucieczkach i wypędzeniach w 1945 roku.¹¹ Nawet Günterowi Grassowi zarzucono, że w swojej powieści "Idąc rakiem" (2002) o zatopieniu statku

z uciekinierami "Wilhelm Gustloff" przyczynił się do rewizji historii. Warszawscy doradcy rządu narodowo-konserwatywnego postrzegają publikacje o niemieckich ofiarach jako "niebezpieczne".¹²

Wielki dyskurs historyczny przebiega więc w Polsce w przeciwnym kierunku. Większość wnuków identyfikuje się z generacją wojenną postrzeganą jako ofiary niemieckiej okupacji. "Polityka historyczna" narodowo-konserwatywnego rządu ma na celu jeszcze silniejsze umocnienie takiego obrazu u młodej generacji.¹³ Polski obraz historii jest zamknięty, a przez to tradycyjny. Każda generacja identyfikuje się z bohaterskimi czynami, ofiarami i cierpieniami poprzedniej generacji.

Natomiast niemiecka wizja historii nie jest jednolita. Współcześni Niemcy nie identyfikują się oczywiście z polityką sprzed dwóch pokoleń czy też z narodowo-socjalistycznymi wzorcami i hasłami propagandowymi. Wręcz przeciwnie, poza marginalną grupą nie wątpią w ich przestępczy charakter. Obecna generacja chciałaby widzieć za uznany fakt, że Niemcy wzięli na siebie odpowiedzialność za ciemne rozdziały najnowszej historii. Zaakceptowali oni w taki sam sposób wypłaty odszkodowań, a w końcu również utratę obszarów nad Odrą i Nysą, jak i próby o przebaczenie wypowiedziane na miejscu wydarzeń przez Romana Herzoga w 1994 z okazji pięćdziesięciolecia Powstania Warszawskiego i Gerharda Schrödera dziesięć lat później.

Nowy spór o wschodnie tereny

Przeciwnie dyskursy historyczne są typowe dla stosunków niemiecko-polskich, które naznaczone są napięciami, od średniowiecza do teraźniejszości. Sprzeczne interesy czasów nowożytnych zaczęły się od rozbiórów Polski pod koniec XVIII wieku, kiedy to Polska została podzielna przez trzech sąsiadów i w końcu zniknęła z mapy Europy. Nawet jeśli owe spory dotyczyły najpierw tylko szlachty, to ogłoszona przez Ottona von Bismarcka walka rządu pruskiego z Kościołem katolickim i polskością (Kulturkampf) wywołała polskie poczucie narodowe w szerokich masach na zaanektowanych przez Prusy terenach. Polityka Bismarcka była w każdym razie rozumiana jako atak na polskość.

W pamięci zbiorowej Polaków jest on absolutnie negatywną postacią, podczas gdy w najnowszych niemieckich publikacjach doceniany jest jako odnoszący sukcesy w polityce zagranicznej.

Niewiele mniejsze są różnice w ocenie okresu międzywojennego. Konferencja w Wersalu, według niemieckiej interpretacji, była zarodkiem powstania narodowego socjalizmu. Ale dla Polski Wersal oznacza przypieczerowanie ponownych narodzin państwa po 123 latach nieistnienia na mapie politycznej.

Wspólnym dla obu stron jest tylko poczucie bycia oszukany w wyniku konferencji. Niemcy w żadnym razie nie sądzili bezpodstawnie jakoby mieli rzec się na rzecz Polski nie tylko niewątpliwie polskich terenów, ale również takich, na których Polacy stanowili mniejszość. I tak w referendum przeprowadzonym w 1921 w przemysłowym mieście Katowice 85% wyborców głosowało za pozostaniem przy Rzeszy. Jest to fakt znany dzisiaj w Polsce tylko historykom, którego na próżno szukać w podręcznikach szkolnych. Polacy natomiast rościli

sobie w Wersalu prawo do znacznie większego terytorium niż im przyznano. Żądali całego Górnego Śląska, wschodniej części Pomorza, Gdańska oraz całych Prus Wschodnich. Te sporne pytania nie odgrywają żadnej roli w obecnym dyskursie niemieckim. Podobnie jest też z wciąż znacznymi różnicami pomiędzy Polską i jej wschodnimi sąsiadami, tj. Litwą, Ukrainą i Rosją, których wspólna historia spotyka się z niewielkim zainteresowaniem. Jednakże debaty te mają jak najbardziej aktualny niemiecki aspekt: w roku 1920 polskie siły zbroje odniosły pod Warszawą zwycięstwo nad Armią Czerwoną i zaraz po tym, podczas ataku na wschód, zdobyły ogromne obszary. Dzisiaj należą one do Litwy, Białorusi i Ukrainy. W związku z tym, zarzuca się tam Warszawie agresywną politykę w okresie międzywojennym, co w Polsce budzi zdziwienie, częściowo nawet przyjmowane do wiadomości z oburzeniem. W wyniku II wojny światowej Polska straciła te tereny na rzecz Związku Radzieckiego, na których mniej niż jedna trzecia ludności była Polakami. W ramach wyrównania otrzymała tereny na wschodzie Niemiec.

To przesunięcie granic różnie jest dzisiaj oceniane w Polsce i w Niemczech, co jest jednym z powodów nieporozumień i konfliktów wokół wysuwanych żądań praw własności. Z niemieckiej perspektywy zrzeczenie się Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich powinno być postrzegane jako reparacja za wszystkie zniszczenia dokonane przez niemieckich okupantów.¹⁴ Natomiast w Polsce wszyscy są zgodni, że tereny na wschodzie Niemiec mogą być jedynie wyrównaniem strat poniesionych na wschodzie Polski. Kwestia reparacji pozostaje więc w oczach prawicowych polityków nadal nie rozwiązana. Nacjonalistyczne ugrupowania są nawet zdania, że Polska ma historyczne prawo do tych terenów; są one bowiem "krajem Piastów". Ponadto Polska nigdy nie otrzymała odszkodowania za zniszczenia, za które odpowiedzialność ponoszą niemieccy okupanci. Państwo miało by więc być oszukane podwójnie.¹⁵ Niemcy dowodzą w odpowiedzi, że wszystkie te kwestie zostały już wyjaśnione na konferencji w Poczdamie w 1945 roku; poza tym w 1953 Polska zrzekła się wszelkich reparacji z powodu przejścia terenów nad Odrą i Nysą.

Żądania własności i wyznania winy

Zgodne oburzenie wywołuje w Polsce fakt, że mała grupa niemieckich wysiedleńców próbuje, przez założoną w 2000 roku doradcą firmę prawniczą "Powiernictwo Pruskie", przymusić do odzyskania tytułów własności do przymusowo opuszczonych nieruchomości na wschód od Odry i Nisy. Jest to też silny argument na rzecz ostrzeżenia przed rewizją historyczną Niemców na niekorzyść Polaków. Powiernictwo Pruskie dlatego napotyka na ostry opór, ponieważ zwyczajnie ignoruje polską interpretację powojennej historii, według której mieszkańcy terenów na wschodzie Niemiec słusznie zostali wypędzeni, jak również cierpienia Polaków podczas niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej.

Emocje te przyjmowane są w Niemczech do wiadomości raczej bez zrozumienia. Wskazuje się, że w demokracji każdy obywatel ma wolną drogę do wniesienia oskarżenia z powództwa cywilnego. Rząd federalny ogranicza się do zapewnienia nie wspierania roszczeń. Nic więcej nie może uczynić, ponieważ według interpretacji prawników ministerstwa spraw wewnętrznych protokół poczdamski z 1945 nie włączył do obszaru państwa polskiego terenów wschodnich, a jedynie pozostawił "do administrowania". Problem ten został rozwiązany dopiero układem o uznaniu granic z 1990 roku.

Z ankiety warszawskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej Pentor wynika, że obawa Polaków przed dawnymi niemieckimi właścicielami nieruchomości jest tym większa, im dalej mieszkają od Niemiec. Największa była na terenach, których w ogóle by to nie dotyczyło. I tak w punkcie kulminacyjnym debaty na temat wypędzeń, jaka odbyła się w jesieni 2003, podobne obawy wyraziło prawie dwie trzecie mieszkańców województwa mazowieckiego łącznie z Warszawą i podkarpackiego. W centralnie położonym województwie świętokrzyskim aż 77% mieszkańców bało się żądań Niemców. Zupełnie inaczej wygląda

sytuacja na dawnych wschodnich terenach Niemiec: na Pomorzu obawy takie wyraziło tylko 27% ankietowanych, a na Śląsku 23%.¹⁶ Trzy lata później, jesienią 2006 roku, już tylko jedna trzecia wszystkich Polaków uważała, że żądania zwrotu własności stanowią zagrożenie dla kraju.¹⁷

Projekt Centrum Dokumentacji Wypędzeń w Berlinie, do którego dąży Związek Wypędzonych (BdV), rozumiany jest w Polsce jako psychologiczna ochrona dla roszczeń własności, jaką wnosi Powiernictwo Pruskie. Polska prasa albo wcale, albo tylko na marginesie donosiła, że zarząd Związku Wypędzonych odrzucił roszczenia własności wobec Polski.

Inicjatorzy fundacji "Centrum Przeciw Wypędzeniom" (ZgV), prezes Erika Steinbach i zmarły w 2005 roku dawny sekretarz generalny SPD Peter Glotz, zaobserwowali, że w połowie lat 90-tych odbyła się w Polsce intensywna debata o wypędzeniach Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy. Przede wszystkim Gazeta Wyborcza i Tygodnik Powszechny, organ zorientowanych na reformę katolików, poświęciły temu tematowi liczne artykuły.¹⁸ Pojawiło się też około tuzina naukowych książek na ten temat.¹⁹

Jednak wkrótce potem okazało się, że ta pierwsza polska debata o wypędzeniach dotarła tylko do małej części społeczeństwa. Konserwatywne i nacjonalistyczne środowiska zdecydowanie odrzuciły założenie, że również jakaś część Niemców stała się ofiarami wojny i jej skutków. Skutki debaty o Jedwabnem

Ta pierwsza debata na temat wypędzeń w roku 2000 została przyćmiona przez inny temat, który spowodował ostre kontrowersje w młodej polskiej demokracji. Chodziło o, ni mniej ni więcej, niż o potencjalny udział Polaków w Holocauście. Debatę wywołała książka warszawskiego politologa Jana T. Grossa o pogromie Żydów w Jedwabnem, w lipcu 1941.²⁰ W małym miasteczku na wschodzie Polski grupa tubylców, której komando SS obiecało uwolnienie od kary i korzyści materialne, zamordowała większą część żydowskich sąsiadów. W Niemczech przyjęto książkę J. T. Grossa z bezgranicznym zadowoleniem i to ze strony lewicy jak i prawicy, co w przypadku książki o II wojnie światowej wydaje się być wyjątkiem. Liberalni i lewicowi publicyści wydawali się zadowoleni, że wyjaśniono kolejny rozdział Holocaustu i że Polacy zostaną też zmuszeni do konfrontacji ze swoim tradycyjnym antysemityzmem. W prawicowo-radykalnych pismach niszowych, jak też w publikacjach wypędzonych nie ukrywano, że Polacy zostali napiętnowani również jako złoczyńcy. Miliony wypędzonych doświadczyły przecieży, że Polacy byli też oprawcami. Stanowisko niemieckiej prawicy było tym samym prawie że takie samo jak polskich liberałów i lewicy, którzy żądają konfrontacji z polską winą.

W polskiej prasie wydrukowano wiele niemieckich komentarzy na temat Jedwabnego. Dla polskich publicystów było oczywiste, dlaczego Niemcy tak intensywnie zajmują się polskim antysemityzmem: to ich odciąża. Niemiecka wina staje się mniejsza, bardziej banalna, jeśli także Polacy mogą zostać napiętnowani nie tylko jako antysemita, lecz także jako współwinni. Przy czym wymordowanie polskich Żydów, co ciągle jest gorzko podkreślane, nie było polityką polskiego lecz niemieckiego rządu.²¹

Kampanie przeciwko Centrum

Kontrowersje wokół Jedwabnego śledzili również inicjatorzy Centrum Przeciw Wypędzeniom, podobnie jak już wcześniej analizowali polską debatę w połowie lat 90-tych. Z obydwu wywnioskowali, że polskie społeczeństwo pożegnało się z tradycyjnym wizerunkiem siebie jako "narodu bohaterów i ofiar". Polski rząd i instytucje zostały zaproszone do współpracy nad projektem Centrum.

Taka ocena była jednak błędna. Po debacie o Jedwabnem polscy publicyści uznali, że Polacy po raz kolejny przedstawieni zostali przez Niemców jako sprawcy lub współwinowajcy.²² Niesmak w sprawie projektu Centrum podsumował Władysław Bartoszewski*, były konserwatywny minister spraw zagranicznych, w następujących słowach: "W Niemczech

chce się zbudować fałszywą świadomość, że poza Żydami ofiarami II wojny światowej byli głównie Niemcy".²³ Bartoszewski wywołał tym stwierdzeniem falę protestów. U ich podstaw legł zarzut, że Centrum Przeciw Wypędzeniom zmierza do rewizji lub nawet do fałszowania zapisu historycznego.

Pomysł Centrum narodził się jeszcze za czasów rządów Helmuta Kohla. On to uświadomił nowej przewodniczącej Centrum dwie rzeczy: po pierwsze powinna ona usunąć ze związku starych i nowych neonazistów, którzy w ostatnich latach przewodnictwa słabego już Herberta Czaji zdobyli tam wpływy. Po drugie powinna rozwinąć koncepcję przyszłości Centrum na czas, kiedy już nie będzie generacji wojennej. Centrum Przeciw Wypędzeniom było więc od samego początku pomyślane jako projekt mający zastąpić organizacje wypędzonych. Założenie było więc jednoznaczne: nie powinno ono być w żadnym razie sporne, lecz skierowane na Europę. Polska prasa nigdy nie pisała o tych początkach, nigdy nie przedstawiono koncepcji, lecz z góry ją odrzucono.

W związku z ostrym tonem z Warszawy ówczesny kanclerz Niemiec Gerhard Schröder postanowił włączyć się do debaty w celu załagodzenia sprawy po polskiej stronie. Odrzucił propozycję ministra spraw wewnętrznych Otto Schily'ego, aby zwołać dużą konferencję z politykami i naukowcami z Niemiec, Polski i Czech. Miałyby ona załagodzić polityczną sytuację. Jednak Gerhard Schröder przystał na propozycję ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera, konfrontacji Związku Wypędzonych ze stojącymi za nimi chrześcijańskimi demokratami. Schröder wyjaśnił następnie, że wraz z berlińskim Centrum powstaje niebezpieczeństwo "wysunięcia na pierwszy plan krzywdy, jaka spotkała Niemców".²⁴ Również J. Fischer zarzucał Centrum, że ma ono na celu relatywizowanie "historycznej winy Niemców". "Związek przeciw wypędzeniom nie nadaje się na dyrektora", wyjaśnił.²⁵

Swoimi stwierdzeniami kanclerz i wicekanclerz uczynili Centrum nie tylko spornym punktem polityki wewnętrznej, lecz dali też sygnał polskiemu rządowi do zaatakowania zorganizowanych wysiedleńców, co nie zdarzyło się od przełomu 1989 roku. W Polsce rozwinęła się debata mająca częściowo historyczne cechy i która została wkrótce zdominowana przez prawicowych publicystów i polityków.

Erika Steinbach stała się nową znienawidzoną postacią wszystkich polskich mediów. Prawicowcy zarzucali jej fałszowanie historii, nie podając jednak na to przykładów, zaś lewicowe i liberalne publikacje uczyniły ją główną odpowiedzialną za pogorszenie stosunków niemiecko-polskich. Ataki na nią, przypominające czasami kampanie propagandowe z czasów PRL, opierały się na doniesieniach niezgodnych z faktami. Czasem były to cytaty wyrwane z kontekstu i odarte z pierwotnego sensu, a w pojedynczych przypadkach nawet wymyślone.²⁶ Zarzucano jej, że chciała przygotować grunt dla neo-nacjonalistycznego socjalizmu.

Tygodnik "Wprost" przedstawił ją, na często dyskutowanej stronie tytułowej, w mundurze SS jeżdżącą na kanclerzu Schröderze. Pod spodem napisane było czarno-czerwono-żółtą czcionką: "niemiecki koń trojański". Schröderowi zarzucano w tekście, że nie bierze na poważnie porozumienia z Polską, ponieważ Niemcy corocznie wspierają Związek Przeciw Wypędzeniom milionami euro.²⁷ Według "Wprost" Centrum ma za zadanie pokazać, "że Polacy przysporzyli Niemcom najwięcej cierpień".²⁸

Polskie media przemilczały całkowicie fakt, że projekt Centrum wspierany jest również przez żydowskich intelektualistów²⁹, a przede wszystkim przez organizacje chrześcijańskie. Te ostatnie od dziesięcioleci biorą udział w dialogu niemiecko-polskim, a podczas stanu wojennego w latach 80-tych organizowały akcje pomocy dla Polski.³⁰ Podobnie nie dowiedzieli się polscy czytelnicy i telewidzowie, że na wystawie "Wymuszone drogi", zorganizowanej przez fundację "Centrum Przeciw Wypędzeniom" w 2006, po raz pierwszy w Niemczech pokazano los Polaków podczas II wojny światowej wypędzonych przez niemieckich okupantów w ramach ludowej polityki nazistowskiej. Prawie milion

mieszkańców z terenów włączonych do Rzeszy, jak również ponad 100 000 mieszkańców Zamościa miało stać się "przykładowym obwodem germańskich chłopów zbrojnych".³¹ Polskie media nie pisały też o reakcjach na wystawę w Niemczech. Prawie wszyscy komentatorzy podkreślali, że niemieccy wypędzeni nie byli w żadnym razie jedynymi, którzy tego doświadczyli. Co więcej, niektórym narodom powiodło się znacznie gorzej, np. Polakom deportowanym na Syberię i do Kazachstanu. Wystawa nie podlegała więc w Niemczech do agresywnych nastrojów; wręcz przeciwnie: jej przesłanie było dostrzegane jako starania o zrozumienie i pojednanie.

Wina zbiorowa i dziedziczna

Mottem powrotu tematu wypędzeń w niemieckiej debacie dla części polskich komentatorów i polityków było: "Dzieci morderców przypominają o cierpieniach swoich rodziców".³² W podobnym sensie zapisano zdanie w rezolucji narodowo-konserwatywnej partii Jarosława Kaczyńskiego PiS: "Odpowiedzialność musi ponieść cały naród niemiecki, który masowo poddał się hitleryzmowi i zaakceptował panowanie Hitlera."³³

Ten argument zbiorowej i dziedzicznej winy jest w Niemczech mało rozumiany i akceptowany. Jedynie marginalna grupa sympatyków nazizmu i mniejszość wśród zorganizowanych wypędzonych podają w wątpliwość związek między niemiecką wojną zagłady i następującymi po niej wypędzeniami. W najnowszych niemieckich publikacjach na temat końca wojny w 1945 zatacza się raczej koło, z powrotem do roku 1939.³⁴

Również drugi przytaczany w Polsce argument napotyka w Niemczech tylko na ograniczone zrozumienie. Ponieważ przestępstwa popełnione przez Niemców na Polakach podczas wojny były o wiele gorsze niż cierpienia wypędzonych, nie przyjmuje się do wiadomości, jeśli Niemcy podkreślają dzisiaj, że też ponieśli ofiary. Odnośnikiem jest tu ciągle Powstanie Warszawskie w lecie 1944, w którym nie tylko zginęło blisko 150 000 cywilów, ale również centrum miasta zostało zrównane z ziemią. Natomiast w Niemczech wypędzeni postrzegani są obecnie w przeważającej mierze jako ofiary. Mieli oni do zapłacenia wyższą cenę za wojnę, za którą byli odpowiedzialni wszyscy Niemcy, niż ci mający szczęście mieszkać po wojnie na północy, zachodzie, czy południu Niemiec. Polskie protesty przeciwko projektowi widziane są przez większą część niemieckich komentatorów jako próba tabuizacji ciemnego rozdziału własnej historii.

To, że polscy politycy i publicyści prawicy z powojennej generacji zgłaszają wobec Niemiec reklamację statusu ofiar dla siebie

i swoich rodaków, rozumiane jest w Niemczech jako moralne roszczenia. Właśnie poprzez odrzucenie tego prawa widać, w jak różnych fazach w Polsce i w Niemczech znajdują się dyskursy na temat najnowszej przeszłości. Polska prawica wychodzi z założenia, że współcześni Niemcy zbyt mało wiedzą o reżimie okupacji podczas wojny, który nie tylko stworzył Holocaust, ale też dążył do zniszczenia Polski jako nacji kulturowej. Ta teza jest uzasadniona, ale nie odnosi się ani do politycznej, ani do intelektualnej elity Niemiec, jak np. duża liczba niemieckich publikacji i dokumentów telewizyjnych na ten temat.

Pozostawanie przy wyidealizowanym portrecie własnym

W Niemczech ciągle wskazuje się, jak głęboko i obszernie opracowane są ciemne strony własnej historii. Ci, którzy przeżyli Holocaust oraz historyk Arno Lustiger stwierdzili: "Niemcy są, nie mówię tego bez dumy, najdalej posunięci. Tutejsze społeczeństwo jest świadome swojej historii". Tego samego życzy on sobie "dla Bułgarii, Rumunii, także dla Polski i wielu innych".³⁵

A. Lustiger powiedział tym samym to, co miało być w Niemczech szeroko rozprzestrzenioną opinią o niemiecko-polskich debatach historycznych. Podczas gdy strona niemiecka dumna jest ze swojego krytycznego nastawienia do historii, stronie polskiej zarzuca się brak krytycznego dystansu. Dla polskich odbiorców taka krytyka jest z oczywistych powodów trudna do przyjęcia, ponieważ pochodzi od "narodu sprawców". Jeśli dodać jeszcze do tego

fakt, że "wnuki sprawców" włączają do tej krytyki rzekomo niewystarczające opracowanie tradycyjnego polskiego antysemityzmu, to wywołuje to w Polsce oburzenie.

Z drugiej strony społeczeństwo niemieckie jest oburzone, kiedy ignorowane są jego starania o opracowanie historii. Tak było na przykład podczas wizyty premiera Jarosława Kaczyńskiego w obozie koncentracyjnym w Stutthof koło Gdańska w sierpniu 2006. Zarzucił on wtedy stronie niemieckiej, w związku z wystawą "Wymuszone drogi", szorstkim tonem, że zapominają, "kto był sprawcą, a kto ofiarą".³⁶ Według niemieckich komentatorów pokazał swoim wystąpieniem, że najwyraźniej myśli w kategorii winy zbiorowej. Polska prawica jawi się większości Niemców jako siła nie pragnąca przyjąć wyciągniętej na pojednanie ręki wypędzonych, ponieważ chciałaby trwać przy wyidealizowanym portrecie własnym jako "naród bohaterów i ofiar".

60 lat po zakończeniu II wojny światowej polskie stanowisko dlatego napotyka na niezrozumienie, ponieważ dawni przeciwnicy w wojnie, poprzez symboliczne gesty, uznali ten rozdział wspólnej historii za zamknięty. I tak zachodni alianci zaprosili ówczesnego kanclerza Gerharda Schrödera na sześćdziesiątą rocznicę lądowania wojsk w Normandii. 9 maja 2005 Schröder siedział również jako gość honorowy w pierwszym rządzie na Placu Czerwonym z okazji wielkiego święta zwycięstwa. Trzy tygodnie wcześniej Niemiec, będący kiedyś - wbrew swojej woli - członkiem Hitlerjugend i żołnierzem Wehrmachtu, został wybrany papieżem.

Przesłanie papieży

Benedykt XVI jest w Polsce szczególnie lubiany. Był on nie tylko zaufanym człowiekiem polskiego papieża, ale też przy wielu okazjach wyraża zainteresowanie Polską. Dlatego prawie do każdego swojego krótkiego przemówienia przy okazji modlitwy na Anioł Pański wplata krótkie przesłanie po polsku. Podczas pielgrzymki do Polski w maju 2006 był owacyjnie przyjmowany. Ale że papież każdego roku przesyła Związkowi Wypędzonych kartkę z pozdrowieniami i błogosławieństwem³⁷, tego polskie społeczeństwo się nie dowiedziało.

Również jego wielki poprzednik, Jan Paweł II, słał karty z podobnymi przesłaniami z okazji "dnia ojczyzny", ostatnio latem 2003, w momencie kulminacyjnym emocji o Centrum Przeciw Wypędzeniom. Polska prasa przemilczała to całkowicie. Tylko katolicki Tygodnik Powszechny donosił o tym. Pismo

z Rzymu zostało przedstawione jako manipulacja niemieckich duchownych w Watykanie, o której papież z pewnością nic nie wiedział. W niemieckich kręgach katolickich przyjęto to z bezradnością.

Karol Wojtyła, jak wiadomo, należał do decydujących autorów słynnego listu polskich biskupów do ich niemieckich kolegów w 1965 roku. Na konferencji w Gnieźnie z okazji czterdziestolecia korespondencji gnieźnieńskiej ówczesny kanclerz Helmut Kohl wskazał na rolę kościołów w Niemczech. Miały one mieć znaczny udział w tym, że większa część wypędzonych, nie bez bólu, zaakceptowała utratę ojczyzny. Przy okazji Kohl zaznaczył, że w Polsce "nie odbyła się żadna normalna debata" na temat Centrum przeciw Wypędzeniom.³⁸ "Rzeczpospolita", w doniesieniu z konferencji w Gnieźnie, poinformowała bez bliższych wyjaśnień o zupełnym przeciwieństwie: "Helmut Kohl skrytykował pomysł budowy Centrum Przeciw Wypędzeniom."³⁹

Punktem kulminacyjnym słynnego listu polskich biskupów było zdanie: "wybaczamy i prosimy o wybaczenie". W obecnej polskiej debacie list ten jest chętnie cytowany, ale nie nadmienia się, że druga część tego zdania odnosi się oczywiście do wypędzeń.